

Marta Łabecka

# All Of Your Flaws

Przypomnij mi naszą przeszłość



beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redakcja: Anna Skóra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<https://beya.pl/user/opinie/allofy>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-9267-0

Copyright © Marta Łabęcka 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# Prolog

Zapominanie o nim było jak nocne niebo, które zachwycą swoim pięknem, podczas gdy ty nie jesteś w stanie nawet unieść głowy, by na nie spojrzeć. Jak samotne stanie i odwracanie wzroku od gwiazd ze świadomością, że osoba, która kiedyś dawała ci je w prezencie, jest teraz równie nieosiągalna, co one.

Zapominanie o niej było jak pokój bez wyjścia, w którym tkwisz w pojedynkę, a ściany nieustannie odbijają echo jej śmiechu. Jak jej cień tańczący w rogu podczas bezsennych nocy, gdy leżysz w pościeli przesiąkniętej jej zapachem, czując, że z każdym dniem staje się coraz mniej wyraźny, zupełnie jak twoje wspomnienia.

# Rozdział 1

## *Sześć lat później*

Rzeczywistość bywa rozczarowująca. Josephine przekonała się o tym przy więcej niż jednej okazji.

Nie powinna być więc zaskoczona, że po latach zastanawiania się, jak by to było wrócić do rodzinnego miasteczka, spotkał ją jedynie zawód. Po niezliczonych koszmarach, w których przemierzała znienawidzone ulice, wołając kogoś, kto nigdy jej nie słyszał, kiedy faktycznie na powrót znalazła się w Moreton, nie czuła zupełnie nic.

Mogłaby argumentować swoją reakcją tym, że jeszcze nie dotarła do niej realność tego, co się dzieje. Jednak miała całe dwa tygodnie na pogodzenie się z faktem, że wraca. Bilet lotniczy na jej nazwisko straszył ją za każdym razem, gdy zaglądała na swoją pocztę. Dziesiątki kartonów, do których przez minione kilkanaście dni skrzętnie pakowała ostatnie sześć lat swojego życia, również nie pozostawiały miejsca na luksus zaprzeczenia.

Znała więc doskonale wagę tego, co robiła, wracając do miasta, w którym wszystko się zaczęło i jeszcze więcej skończyło. Mimo to nie potrafiła znaleźć w swoim sercu nawet jednej z tak wielu emocji, które powinny jej w tym momencie towarzyszyć. Ani śladu tego, co czuła, gdy opuszczała to miejsce, wierząc, że robi to na dobre. Ostatnie sześć lat sprawiło, że zobojętniała na wiele rzeczy.

— Gotowa?

Męski głos zmusił ją do odwrócenia głowy od znajomej fasady budynku i zwrócenia się w kierunku narzeczonego. Carter przyglądał

jej się uważnie nieodgadnionym spojrzeniem i przez chwilę zastanawiała się, czy jest w stanie odczytać to, co dzieje się w jej głowie.

Zaraz jednak odezwał się ponownie, nie czekając na jej odpowiedź, i tym samym rozwił wszelkie wątpliwości.

— Chodźmy. Tak dawno nie widziałas się ze swoimi rodzicami, że pewnie nie możesz się doczekać, aż ich zobaczysz.

— Dokładnie tak bardzo, jak oni mnie — odpowiedziała zgodnie z prawdą. *Czyli wcale* — dodała już jedynie w myślach.

Carterowi natomiast posłała wystudiowany uśmiech. Zadziałał dokładnie tak samo jak zawsze, bo mężczyzna bez cienia podejrzliwości dał znak kierowcy obserwującemu ich w lusterku. Chwilę później drzwi samochodu zostały otwarte, a Josie z wdzięcznością chwyciła dłoń szofera, który pomógł jej wysiąść.

Ledwie odczuwalny powiew wiatru otulił jej skórę, gdy chłonęła wzrokiem znajomą fasadę budynku, na próżno szukając zarówno wyraźnych zmian w otoczeniu, jak i przejmujących emocji we własnym sercu.

— Pięknie tu — zauważył Carter, obserwując posiadłość otoczoną zielenią, która powoli ustępowała innym barwom na skutek zbliżającej się jesieni. — Nie rozumiem, dlaczego zawsze wzbraniałaś się przed tym, żebyśmy odwiedzili twoją rodzinę.

— Bo wszystko, czego potrzebowałam do szczęścia, miałam w Bostonie — przyznała, a ramię bruneta owinęło się wokół jej talii. Jakby ten gest był nagrodą za to, co powiedziała. — Poza tym musisz przyznać, że małe miasteczka nie są dla ciebie.

— Ty wychowałaś się w małym miasteczku, a jednak jesteś dla mnie niemal idealna — odparł tak czule, że „niemal” w jego ustach *prawie* nie brzmiało jak zamierzony przytyk.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że Carter Bateson pochodzi z innego świata. Nawet jeśli stał na żwirowym podjeździe największego i najbogatszego domu w Moreton. Wszystko, poczynwszy od postawy jego idealnego ciała, przez sposób, w jaki patrzył na innych, aż po ubrania, które nosił, krzychało o pieniądzach i władzy, przy jakich nawet Sinclairowie wydawali się zupełnie przeciętną rodziną.

Decyzja Josephine w kwestii wyboru partnera życiowego zdecydowanie przerosła oczekiwania jej rodziców. Ona — córka, która nigdy nie była wystarczająco dobra, zostanie żoną człowieka, który przewyższał ich pod każdym względem, jaki się dla nich liczył. Był czas, kiedy Josie uważała to za swoisty pstryczek w nos za wszystko, czego od nich doświadczyła. Żart jednak bardzo szybko obrócił się przeciwko niej. Zarówno Lillian, jak i jej mąż pokochali kandydata na zięcia. A raczej wszystkie korzyści płynące z wejścia kogoś takiego do rodziny.

Carter poprowadził ją do drzwi, które się otworzyły, jeszcze zanim zdążyli zapukać. Najwidoczniej ktoś po drugiej stronie czekał, aż zdecydują się podejść.

— Panie Bateson, panno Sinclair. — Kobieta o nieznajomej twarzy powitała ich nieśmiałym uśmiechem. — Zapraszam.

Pytanie o to, gdzie jest pani Murphy, niemal ześlizgnęło się z języka Josephine. Cały czas podświadomie i być może naiwnie zakładała, że kobieta nadal jest gosposią w jej rodzinnym domu.

Rodzice czekali już na nich w holu i chociaż od ich ostatniego spotkania minęło ponad półtora roku, dziewczyna nadal czuła, że powitania nadeszły zbyt wcześnie. Gdyby to zależało wyłącznie od niej, ten moment nigdy by nie nastąpił.

Nikt jednak nie pytał jej o zdanie zarówno w tej, jak i w wielu innych kwestiach, więc jedyne, co mogła zrobić, to wyprostować plecy i unieść podbródek, chowając głęboko w sobie wszystkie urazy, których nie leczyły czas ani odległość.

— W końcu jesteście — odezwała się Lillian, gdy już mieli za sobą pierwsze uściski dłoni i uprzejme słowa powitania. — Zaczynaliśmy już się zastanawiać, czy coś się wydarzyło.

Josephine nie była nawet zdziwiona, że ta troska i przyjazny uśmiech są skierowane do Cartera zamiast do rodzzonej córki. Nie miała tego za złe rodzicom. W końcu zawsze mieli szczególne upodobanie do wszystkiego, co *idealne*.

— Josephine zadbała o to, żebyśmy byli modnie spóźnieni — zażartował mężczyzna z lekkością, chociaż dziewczyna wiedziała, że jeszcze

nie do końca wybaczył jej fakt, że był zmuszony czekać na nią na lotnisku. Spośród wielu rzeczy, których jej przyszedł mąż nie tolerował, brak punktualności plasował się w ścisłej czołówce. — Zdziwiająco trudno było ją znaleźć na lotnisku — dodał, przyciągając ją bliżej do swojego boku.

— Cóż, mogłaś przynajmniej wykorzystać ten czas na zadbanie o swój wygląd. Przy Carterze prezentujesz się dosyć mizernie.

Josie powstrzymała wywrócenie oczami. *Jakże jej tego brakowało.*

— Ciebie też miło widzieć, mamó. — Zignorowała kąśliwy komentarz i postanowiła nie wdawać się w dyskusję o tym, jak wygląda po siedmiogodzinnym locie, który w dodatku spędziła w szpilkach i eleganckiej sukience, bo chciała prezentować się odpowiednio na spotkaniu z narzeczoną.

— Przejdźmy do salonu. — Anthony skinął głową i ruszył we wskazanym kierunku, niemal od razu wdając się z Carterem w dyskusję na ich ulubione tematy, które zawsze krążyły wokół finansów, gospodarki i bostońskiego imperium Batesonów.

Z kolei Josephine, mimo kilkuletniego związku z człowiekiem, którego prawie całe życie składało się właśnie z tych rzeczy, wciąż uważała je za nieprawdopodobnie nudne zagadnienia do rozmowy. Niezmiennie ją nużyły. Dlatego, kierując się zasadą wyboru mniejszego zła, skupiła uwagę na osobach, które czekały na nią w salonie.

— Josephine! — William z zaskakującym entuzjazmem podszedł do młodszej siostry. — Miło cię znów widzieć po tylu latach.

Na szczęście jej brat w przeciwieństwie do rodziców nigdy nie czuł potrzeby, by odwiedzać ją w Bostonie, więc ich ostatnie spotkanie odbyło się niemal siedem lat temu, podczas świąt spędzonych u dziadków w Szkocji. W zupełnie innym życiu.

— Ciebie też — odpowiedziała mu słabym uśmiechem, odrobinę przytłoczona jego reakcją. Wyglądał, jakby naprawdę cieszył się, że ją widzi.

— Chodź, przedstawię cię dwóm najważniejszym osobom w moim życiu. — Zaprowadził ją do kobiety z dzieckiem na rękach, stojącej nieco z boku.

W odpowiedzi na tę deklarację rudowłosa piękność spojrzała na niego z zawstydzonym uśmiechem, chociaż w jej oczach wyraźnie błyszczało szczęście.

— Moja żona Crystal i nasza córeczka Nicole. — Z czułością, o jaką nigdy nie podejrzewałyby tego Williama, którego znała, pogładził głowę dziewczynki. — Zostawię was na chwilę i pójdę przywitać się z Carterem.

— Miło was w końcu poznać i przepraszam, że dopiero teraz — zaczęła uprzejmie Josephine, aby uniknąć niezręcznej ciszy. Pośród wielu rzeczy, które ją ominęły w konsekwencji unikania Anglii jak ognia, były między innymi ślub brata i narodziny bratanicy.

Crystal jednak zbyła to machnięciem ręki.

— W ogóle się tym nie przejmuj. Teraz będziecie nas miała aż w nadmiarze, biorąc pod uwagę, że będziemy mieszkać w jednym domu.

Odwzajemniła uśmiech, chociaż nie do końca wierzyła w tę ciepłą i miłą postawę żony swojego brata. Jeśli cokolwiek nauczyła się, żyjąc u boku Cartera, to właśnie tego, żeby nie ufać temu, co się widzi na pierwszy rzut oka.

— Przynajmniej będę miała okazję spędzić trochę czasu z moją bratanicą. Cześć, jestem Josephine. — Wyciągnęła rękę do dziewczynki, starając się brzmieć jak najbardziej przyjaźnie.

— Ty wyglądasz jak ja! — Nicole zignorowała jej powitanie i wyciągnęła rączkę, by dotknąć jej włosów. Drugą sięgnęła po swoje. — Zobacz! Mają taki sam kolor.

— Masz rację, są bardzo podobne. — Pokiwała głową, bo obserwacja dziewczynki była całkowicie słuszna. Nicole zdecydowanie odziedziczyła cechy charakterystyczne dla rodziny Sinclair i z ciemnymi włosami oraz błękitnymi oczami przypominała swojego ojca, a co za tym idzie, w pewnym stopniu również Josephine.

— Josephine. — Głos Cartera rozbrzmiał za jej plecami i zmusił do odwrócenia się. — Na mnie już pora.

— Tak szybko? — Matka Josie odezwała się, zanim dziewczyna zdążyła zareagować. — Liczyliśmy, że zjesz z nami obiad. W końcu tak długo się nie widzieliśmy.

— Niestety mam dzisiaj jeszcze kilka spotkań, których nie mogę przełożyć. Innym razem — zapewnił uprzejmie, ale Josephine była niemal pewna, że nie nastąpi to tak szybko, jak jej rodzice by sobie tego życzyli.

— W takim razie trzymamy cię za słowo. Może któregoś dnia odwiedisz nas w kancelarii? To zawsze ogromna przyjemność cię zobaczyć — wtrącił pozornie niezobowiązująco ojciec Josephine, wymieniając pożegnalne uściski dłoni z przyszłym zięciem.

— Oczywiście, z największą przyjemnością.

— Będę za tobą tęsknić. — Westchnęła ciężko, gdy znaleźli się na zewnątrz.

Jeszcze kiedy żyli w Bostonie, Carter często wyjeżdżał lub spędzał całe dni w biurze, ale to był stan rzeczy, który Josephine akceptowała. Była świadoma, że prędzej czy później jej narzeczony wróci do ich mieszkania. Tym razem ich rozłąka miała potrwać o wiele dłużej.

— Nie przesadzaj, kochanie. Będę zaledwie godzinę drogi stąd. — Zbył jej słowa wzruszeniem ramion. — To o wiele bliżej, niż byliśmy przez ostatnie tygodnie.

— Co z tego, jeśli wiecznie będziesz zbyt zajęty, by mnie chociaż odwiedzić — odpowiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

— Josephine, przerabialiśmy to wystarczająco dużo razy. — Carter westchnął, a w jego oczach na chwilę pojawił się cień irytacji, jak zawsze, gdy musiał się powtarzać. — To nie jest kara, tylko najlepsze wyjście dla wszystkich. Ja muszę skupić się na firmie, a ty musisz... Dla ciebie to okazja, żeby nadrobić stracone lata i poznać rodzinę swojego brata. To lepsze, niż gdybyś miała spędzać całe dni sama w apartamencie, a ja martwiłbym się o ciebie, zamiast poświęcić uwagę sprawom, które naprawdę jej potrzebują. Rozumiesz to wszystko, prawda?

Pokiwała głową. Już jakiś czas temu porzuciła nadzieję, że dyskusja na ten temat ma sens.

— Obiecuję, że spotkamy się najszybciej, jak to możliwe, w porządku?

— Poglądził ją po policzku, zadowolony z jej niewerbalnej odpowiedzi. — W najbliższych dniach muszę polecieć do Bostonu na ostatnie spotkanie zarządu. Zanim zamknę wszystkie najpilniejsze sprawy związane

z przenosinami, będę miał urwanie głowy, więc gdyby coś się działo, dzwoni do mojej asystentki, dobrze?

Nie powiedziała mu, że nawet nie ma numeru kobiety, która dla niego pracuje. Nie to Carter chciał usłyszeć. Dlatego jedynie ponownie skinęła głową na znak zgody.

Przez większość czasu wierzyła, że Carter jest najlepszym, co jej się mogło przydarzyć. Nie wymagał od niej miłości, przynajmniej nie takiej, jakiej było jej dane doświadczyć, gdy miała osiemnaście lat. Młody milioner chciał od swojej przyszłej żony przede wszystkim tego, żeby spełniała oczekiwania. A to było coś, co Josephine umiała aż za dobrze.

I tym razem jej się udało, bo mężczyzna się uśmiechnął. Wyglądał, jakby zrzucił z siebie jakiś ciężar.

— Zadzwoń, jak będę miał chwilę. Kocham cię.

— Ja ciebie też — odpowiedziała cicho, obserwując, jak narzeczony oddala się i wsiada do samochodu.

\*\*\*

Nie była pewna, czego powinna się spodziewać, wchodząc do swojej starej sypialni. Jeśli jakiegokolwiek miejsce w domu było jeszcze w stanie wywołać ból, którego się spodziewała, wracając do Moreton, to był nim właśnie jej pokój.

Wcześniej, w towarzystwie Cartera i rodziny, łatwo było skupić się na czymś innym, jednak gdy w końcu została sama, nie mogła już dłużej uciekać od przeszłości. Mogła mieć tylko nadzieję, że okaże się wystarczająco silna, by się z nią zmierzyć.

Pokój oczywiście został przygotowany do jej przyjazdu, dzięki czemu nigdzie nie było nawet najcieńszej warstwy kurzu. Jednak poza świeżą pościelą, jej walizkami oraz kartonami, które dotarły do Moreton jeszcze przed nią, wszystko było dokładnie tak, jak w chwili, kiedy wychodziła z niego po raz ostatni. Zupełnie jakby czas się zatrzymał.

Nie potrafiła zdecydować, czy bardziej niewiarygodne wydaje jej się to, że od tamtego momentu minęło aż sześć lat, czy fakt, że znowu tu jest. W swojej sypialni, w swoim domu, w swoim rodzinnym mieście, chociaż

zarzekała się, że już nigdy nie wróci. Była doskonałym przykładem, że — jak widać — nie można oszukać przeznaczenia.

Niepewnie weszła w głąb pokoju, prawie jakby spodziewała się, że spod łóżka zaraz wyskoczy potwór, w którego wierzyła, gdy miała osiem lat. Jednak podświadomie wiedziała, że ta ostrożność nie ma nic wspólnego ze strachem przed wytworem dziecięcej wyobraźni.

Jedynym niebezpieczeństwem czyhającym na nią w tym pomieszczeniu były jej własne wspomnienia — i stanowiły dużo większe zagrożenie niż potwory pod łóżkiem.

Powoli przechadzała się po sypialni. Próbowwała odtworzyć w pamięci sposób, w jaki promienie słońca padały na ścianę w letnie wieczory, i układ kroków, które przed laty stawiała z niezachwianą pewnością, znając na pamięć miejsca, gdzie parkiet skrzypiał pod jej ciężarem. Teraz wszystko tu było jednocześnie znajome i obce, należało do niej, a zarazem było własnością kogoś innego, kogo kiedyś знаła.

W końcu zatrzymała się w połowie drogi między łóżkiem a biurkiem. I gdy tak przystanęła, zwrócona plecami do okna, na powierzchnię jej świadomości wypłynęło pojedyncze wspomnienie. Uświadomiła sobie, że dokładnie w tym miejscu stała, gdy wszystko się skończyło.

Niesamowite, jak żywe ono było. Mimo że minęły całe lata i mimo że spędziła je, robiąc wszystko, by o tym nie myśleć, to stojąc pośród tych samych ścian, które były świadkami pożegnania, bez najmniejszego wysiłku potrafiła przywołać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

I właśnie wtedy to poczuła. Pierwsze ukłucie bólu, jak szpilka wbita w jedną z wielu zabliznionych ran, które nosiła głęboko pod skórą, ukryte przed wzrokiem tych, dla których miała być idealna.

Pierwszy raz od lat pozwoliła sobie na chwilę słabości. Na kilka sekund wpuściła go do swojej głowy i patrząc w miejsce, w którym stał tamtego dnia, gdy widzieli się po raz ostatni, niemal go widziała. Pamiętała wszystko tak wyraźnie, że gdyby tylko potrafiła, bez trudu byłaby w stanie przenieść na kartkę każdą emocję błyszczącą w ciemnobrązowych oczach i łyzy ciekące w dół po jego policzkach, gdy opowiadał jej wizję przyszłości, która nigdy się nie spełni.

A zaraz potem, dokładnie tak samo nagle i bez uprzedzenia, wszystko zniknęło. Wróciła do teraźniejszości i szczelnie zamknęła za sobą drzwi, za którymi kryły się wspomnienia. Gdy to zrobiła, przeszywające klucie zelżało do tępego pulsowania, z którym była zaprzyjaźniona, bo nigdy jej nie opuszczało. Czasem było uciążliwe, męczyło ją jak niewidoczna dla innych kula u nogi, którą ciągnęła za sobą wszędzie. Ale to nic.

Nic w porównaniu z cierpieniem, którego doznała w przeszłości.

I nic w porównaniu z cierpieniem, którego doświadczy, gdy ta przeszłość wślizgnie się niepostrzeżenie i wróci do niej, niszcząc wszystko, co zbudowała przez minione sześć lat.

## Rozdział 2

Sny zawsze były narzędziem, za pomocą którego umysł Josephine co jakiś czas przypominał jej, że każdą sekundę dnia spędzała, oszukując siebie i innych.

Czasem mogła spędzić cały wieczór u boku Cartera na ważnym bankiecie, w drogiej sukience i z uśmiechem na twarzy tak przekonującym, że sama zaczynała wierzyć, że jest szczęśliwa. Czasem potrafiła przejść przez całe tygodnie bez myślenia o przeszłości i żyć tak, jakby nigdy się nie wydarzyła. Czasem myślała o tym, jak będzie wyglądał jej ślub, i do jej głowy nawet na sekundę nie wpadała myśl, że już kiedyś planowała swoją wymarzoną uroczystość — gdy miała osiemnaście lat i leżała na plaży pod rozgwieżdżonym niebem z kimś zupełnie innym u boku.

Jednak za każdym razem, kiedy nabierała pewności, że zbliżniły się już wszystkie rany pozostawione przez jej pierwszą miłość, jej własny umysł atakował ją, gdy była najbardziej bezbronna.

Zaczęło się krótko po rozpoczęciu pierwszego semestru, gdy w ciągu dnia jej głowa była zajęta przystosowywaniem się do nowej rzeczywistości. Chodziła na zajęcia, nawiązywała znajomości, poznawała kampus oraz miasto i wydawało się, że *jakoś* sobie radzi. Jednak kiedy przychodziła noc i gdy zasypiała po całym dniu funkcjonowania tak, jakby wcale nie zostawiła serca na innym kontynencie, wspomnienia atakowały ją właśnie w snach.

Dobre sny były różne. Czasem zawierały prawdziwe zdarzenia z ich wspólnej przeszłości — śniła o spacerach po plaży przed wschodem słońca albo długich rozmowach przy świetle księżyca. Innym razem oglądane sceny były jedynie wytworami wyobraźni. Śniła o nim stojącym

pod drzwiami jej akademika lub o wspólnej przyszłości, którą obiecał, gdy się rozstawali. Widziała siebie, starszą o kilka lat, jego, patrzącego z tą samą czułością w brązowych oczach, i dwójkę dzieci, które wołały do niej „mamo”.

Koszmary pojawiały się rzadziej, ale siały o wiele większe spustoszenie, chociaż ich scenariusz nigdy się nie zmieniał. W złych snach Chase zawsze stał na krawędzi klifu, a ona biegła, by go uratować przed upadkiem z wysokości. Krzyczała jego imię, próbując ostrzec go przed niebezpieczeństwem. Jednak nigdy jej nie słyszał, a ona była zbyt wolna, żeby go ocalić. Zawsze spóźniała się o ułamki sekund i mogła jedynie patrzeć, jak jego ciało znika porwane przez szalejący w dole sztorm.

Za każdym razem budziła się z krzykiem w gardle i zlaną potem. Czasem po takich snach spędzała resztę nocy, kuląc się w łazience i wyrzucając z siebie całą treść żołądka. Czekala, aż nastanie świt i będzie mogła uciec od samej siebie, bezpiecznie schować się w tłumie ludzi na uczelni.

Nie pamiętała już, ile miesięcy minęło, ale w końcu sny zaczęły stopniowo tracić na częstotliwości. I właśnie wtedy rozpoczęła się jej prywatna gra z własnym umysłem.

Po czterech tygodniach przespanych w spokoju nocy pierwszy raz uwierzyła, że zaczęła dochodzić do siebie, i postanowiła uczcić to wyjściem ze znajomymi z roku. Kilka godzin później obudziła się z płaczem, a wspomnienie widoku chłopaka spadającego z klifu wciąż było żywe w jej głowie.

Nie było reguły. Czasami spała spokojnie przez całe miesiące, a potem przychodził tydzień, w którym pięć z siedmiu nocy spędzała, przeżywając na nowo najlepsze momenty swojego życia.

Nie było też ratunku, bo nauczyła się już dawno, że pewne rany sięgają tak głęboko, że nie leczył ich nawet czas.

Jedynym, co mogła zrobić, było postawienie wyraźnej granicy, by nawiedzająca ją nocami przeszłość nie niszczyła teraźniejszości budowanej za dnia. Więc nad tym właśnie pracowała.

Została dziewczyną, później narzeczoną mężczyzny, który przez większość czasu był ideałem. Zamieszkała z nim i planowała wspólne

życie. I tylko co którąś noc modliła się, by nie obudziły go jej wspomnienia o innym.

W każdym razie Josephine żyła w przekonaniu, że ma swoją przeszłość pod całkowitą kontrolą, szczelnie zamkniętą i oddzieloną od *teraz*. Dlatego z taką łatwością przystała na powrót do Moreton. Była pewna, że to, co już było, nie pokrzyżuje jej planów tego, co dopiero miało być.

Sny pojawiły się już pierwszej nocy. Zupełnie jakby jej własny umysł postawił sobie za cel udowodnienie, że była w błędzie, sądząc, że powrót nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji. Bo przez kolejne półtora tygodnia każda godzina odpoczynku była projekcją życia, które wiodła, gdy poprzednim razem zamieszkiwała te same cztery ściany.

Pod koniec drugiego tygodnia czuła się, jakby wróciła do początków, gdy bała się zmrużyć oko w obawie, co tym razem przygotowała dla niej jej podświadomość. Sny były też żywsze, bardziej realistyczne i trudniejsze do zapomnienia po obudzeniu, więc czasami potrzebowała długich minut spędzonych na wpatrywaniu się w sufit, zanim otrząsnęła się na tyle, by być gotową na spotkanie z domownikami.

Spędziła lata, odgradzając swoje nowe życie murami obronnymi tylko po to, by po czasie dowiedzieć się, że zostały zrobione ze szkła. Na dodatek pierwsze kamienie w misterną konstrukcję zostały rzucone od wewnątrz.

— Dzień dobry! — Crystal powitała ją z tym samym entuzjastycznym uśmiechem, jaki towarzyszył jej każdego poranka.

Josie zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zatuszować nieco wystraszone wzdrygnięcie. Jeszcze nie przyzwyczała się do największej zmiany, jaka zaszła w rodzinnym domu, i mimo że minęły już dwa tygodnie, wciąż jeszcze zaskakiwała ją obecność innych ludzi.

— Cześć.

— Marie zostawiła ci śniadanie w lodówce, chyba że masz ochotę na coś innego.

Kuchnia Marie była kolejną z rzeczy, do których wciąż starała przywyknąć, bo dom zawsze kojarzył jej się z pysznymi daniami pani Murphy.

— W każdym razie czuj się jak u siebie, w końcu to też twój dom.

— Dużo się tu zmieniło, odkąd to był mój dom — przyznała i momentalnie tego pożałowała, uświadamiając sobie, że Crystal mogła źle odebrać jej słowa. Jeszcze nie nauczyła się rozmawiać ze swoją bratową.

Nie chodziło tylko o widoczne na pierwszy rzut oka zmiany w wystroju, dzięki czemu pomieszczenia straciły odrobinę swojej mrocznej aury. Dom, który znała Josephine, był cichy i zimny, ale nawet jeśli czasem ją przytłaczał swoim rozmiarem, bo był zdecydowanie za duży dla niej samej, to nauczyła się znajdować spokój i ukojenie w tej odstraszałającej przestrzeni.

Natomiast teraz dom z jej wspomnień był wypełniony ciepłem i różnymi odgłosami. Ciągłe coś się działo, ktoś rozmawiał, Nicole się śmiała, oglądała bajki lub bawiła zabawkami wygrywającymi radosne melodie. *Dom żył* i Josie miała trudności z przyzwyczajeniem się do nowego oblicza miejsca, w którym spędziła osiemnaście lat życia.

— Nie miałam na myśli nic złego — dodała wyjaśniająco, gdy już usiadła z kubkiem kawy i przygotowanym dla niej jedzeniem. — Wręcz przeciwnie. Cieszę się, że wam tu dobrze, bo gdy ja tu mieszkałam, było tu... smutniej.

— Na pewno lepiej niż w mieście — przytaknęła Crystal. Wyglądała trochę tak, jakby jej ulżyło, że znalazła coś, czym może pociągnąć rozmowę. — Całe życie mieszkałam w Londynie i za nic nie chciałabym, żeby Nicole wychowywała się w tym ciągłym zgiełku. Za to tu mamy raj i nawet William woli mieszkać tutaj niż w stolicy, chociaż musi dojeżdżać do kancelarii.

Josephine była prawie pewna, że nikt wcześniej, w całej historii miasta, nie uważał Moreton za raj.

— Właśnie, a gdzie zgubiłaś Nicole? — zapytała, ignorując wzmiankę o swoim bracie.

— Jest u siebie. — Crystal kiwnęła głową w stronę schodów prowadzących na piętro. — Sarah ma na nią oko, żebym ja mogła trochę popracować, ale jakoś mi nie idzie. — Westchnęła ciężko, z nieskrywaną niechęcią spoglądając na rozłożone przed nią projekty architektoniczne.

— Pytała o ciebie dzisiaj. Mam nadzieję, że jej wybaczysz, że ciągle nazywa cię swoim klonem, a nie ciocią. Próbuje jej to wybić z głowy, ale trochę to może potrwać. Spodobało jej się to słowo.

Tym razem uśmiech Josephine był odrobinę bardziej szczery. Czterolatka zdecydowanie była jej ulubionym członkiem rodziny i jak na razie najlepszym, co ją spotkało po powrocie.

— Nie przejmuj się, nie mam z tym żadnego problemu. W końcu naprawdę jesteśmy podobne, więc mogę być jej „starszą siostrą bliźniaczką”. — Zaśmiała się, cytując słowa dziewczynki.

— Twoja mama była wniebowzięta, kiedy się okazało, że złote geny Sinclairów wygrały i mała odziedziczyła wygląd po Williamie. Przez całą moją ciążę bała się, że dziecko będzie rude i piegowate — wyjaśniła Crystal, machając puklem swoich ognistych włosów.

— Tak, to bardzo podobne do mojej matki. — Josephine nie mogła powiedzieć, że jest w jakimkolwiek stopniu zdziwiona zachowaniem rodzicielki. — Najważniejsze, żeby mała odziedziczyła charakter po tobie, a nie... — Urwała, zdawszy sobie sprawę, co prawie powiedziała. — Nie po kimś z mojej rodziny — dokończyła, nieudolnie próbując zatuszować wpadkę. Jasne było, że w pierwszej chwili miała na myśli swojego brata.

— Wiem, że nie powinnam się wtrącać, ale chciałabym z tobą porozmawiać o twojej relacji z Williamem — rzuciła Crystal, spoglądając na Josie z nadzieją w piwnych oczach. — Jeśli nie masz nic przeciwko.

Miała, i to bardzo dużo. Oczywiście, że miała. A jednak nie wyraziła swojego sprzeciwu na głos.

Od pierwszego dnia zarówno domownicy, jak i pracująca dla nich trójka ludzi okazywali jej wyłącznie uprzejmość i szczerą troskę. Crystal codziennie próbowała nawiązać z nią rozmowę, jakby naprawdę chciała stworzyć z nią rodzinną relację. Nie zrażał jej nawet dystans, z jakim traktowała ją Josephine.

Ta zatem nie miała podstaw do podejrzliwości, a mimo to wciąż jeszcze nie do końca ufała, że ta ciepła, rodzinna otoczka jest czymś więcej niż sztuczną fasadą. A już na pewno nie wierzyła w szczere chęci

William, który zachowywał się, jakby od zawsze był jej bratem, a nie jedynie nieobecną w jej życiu figurą, której mimo wszelkich starań nie mogła dorównać.

Może zachowywała się dziecinnie, ale nie potrafiła tak zwyczajnie wymazać z pamięci osiemnastu lat dorastania ze świadomością, że rodzice jej nie kochają, bo nie jest tak idealna jak on. Widziała, że mężczyzna się stara, ale nie potrafiła patrzeć na niego jak na brata i nawet *jesli* miała się tego kiedykolwiek nauczyć, potrzebowała o wiele więcej czasu.

Dlatego gdy w domu rozbrzmiał dźwięk dzwonka do drzwi, ratując ją przed rozmową z Crystal, niemal zeskoczyła ze stołka.

— Otworzę — rzuciła, zanim wyszła z pomieszczenia. Zrobiła to tak szybko, że bratowa nawet nie zdążyła zareagować.

Praktycznie podbiegła do drzwi, chociaż z oczywistych powodów nie spodziewała się, że ktoś po drugiej stronie mógłby czekać właśnie na nią. Tym większa była niespodzianka, gdy okazało się, że tak było. Pierwszy raz od dawna uśmiechnęła się szczerze i szeroko.

— Pani Murphy!

Stojąca po drugiej stronie siwowłosa kobieta zmierzyła ją spojrzeniem od góry do dołu w geście niedowierzania.

— Och, Josephine. — Tylko tyle zdołała z siebie wykszusić, zanim jej głos całkiem załamał się ze wzruszenia.

Dziewczyna zrobiła krok, by ją objąć, a w jej sercu rozlało się dawno zapomniane uczucie ciepła. W tamtej chwili na krótko poczuła, że jest w domu. Ciało jej dawnej opiekunki wydawało się o wiele bardziej kruche, niż kiedy się żegnały. Josie poczuła przypływ tliwłości wobec kobiety, która przez lata troszczyła się o nią bardziej, niż jej własna matka.

— Lepiej? — zapytała, gdy zaprowadziła ją do salonu i pomogła usiąść na sofie.

W odpowiedzi otrzymała kiwnięcie głową.

— Wybacz, już się biorę w garść. Po prostu nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. — Pani Murphy wyciągnęła pomarszczoną dłoń i czułym gestem pogładziła ją po policzku. — Wyglądasz pięknie. I tak dorośle.

Josephine czuła, jak ciężar, który nosiła w sobie, odkąd przyjechała, staje się lżejszy, i odetchnęła z ulgą. Przez krótką chwilę zwyczajnie cieszyła się ciepłem, jakie niosła sama obecność osoby z jej dawnego życia, i pozwoliła sobie zapomnieć, jak wiele zmieniło się od ostatniego razu, gdy się widziały. Jednak ten moment szybko przerwało im pojawienie się Crystal.

— Pomyślałam, że zrobię wam herbatę — wyjaśniła, stawiając na stoliku tacę z dwiema filiżankami. — Zostawię was same i pójdę sprawdzić, co u Nicole.

— Skąd się pani dowiedziała, że wróciłam?

— Twój brat mi powiedział — odpowiedziała, cały czas ściskając dłoń Josephine, jakby nadal nie do końca mogła uwierzyć w jej obecność. — Złoty chłopiec z tego Williama, wyrósł na dobrego człowieka. Jesteśmy w stałym kontakcie, odkąd tylko przekonał mnie do przejścia na emeryturę. Nie wiedziałas?

— Niezbyt często rozmawiamy. — Zawstydzienie zaróżowiło policzki Josephine, gdy poczuła na sobie wzrok pani Murphy. Kobieta знаła ją od urodzenia i bez trudu zrozumiała wszystko, co kryły trzy proste słowa.

— Och, kochanie. Dla ciebie to zupełnie obcy człowiek, prawda? — Trzęsącymi się dłońmi uniosła ze stołu filiżankę z herbatą. — Daj sobie czas. A jemu szansę. Obojgu wam zmieniałam pieluchy, więc wiem, co mówię, kiedy twierdzę, że oboje tego potrzebujecie.

— Przepraszam, że nie przyszłam pani odwiedzić. — Dziewczyna najdelikatniej, jak potrafiła, zmieniła temat, rozumiejąc, że rozmowa o Williamie to jak trafienie z deszczu pod rynnę. — Miałam to zrobić, ale potrzebowałam trochę czasu na przyzwyczajenie się do... tego. — Wolną dłoń wskazała na pomieszczenie, w którym się znajdowały.

— Przecież wiesz, że nigdy nie mogłabym mieć do ciebie pretensji — uspokoiła ją głosem pełnym ciepła, który dziewczyna знаła na pamięć. — Poza tym domyślam się, że twoi dawni przyjaciele nie posiadają się ze szczęścia z powodu twojego powrotu, więc nie dziwię się, że byłaś zajęta.

Josie poczuła, że jej ciało na powrót się spina, i skuliła się mimowolnie. Nie była przygotowana na podobne słowa, a kobieta zupełnie nieświadomie zadała jej bolesny cios.

— Właściwie to nie wiedzą, że wróciłam — wyjaśniła, starając się zachować lekki ton. — Minęło dużo czasu, a od mojego wyjazdu nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Przez te lata na pewno poukładali sobie życie i nie chcę im teraz w nim mieszać.

— Rozumiem. — Zmartwienie widoczne na poznaczonej zmarszczkami twarzy wskazywało, że naprawdę tak było.

Sześć lat temu pani Murphy była cichym obserwatorem zdarzeń, które doprowadziły do tragedii. Wystarczająco dużo razy mijała się rano z Chase'em, gdy zostawał na noc, zaspokajała wilczy apetyt Archera i słyszała miłosne przekomarzania Ethana i Valerie, by rozumieć znaczenie tych osób w życiu Josephine.

— Tak jest po prostu lepiej — dodała jeszcze Josephine, jakby mogła tym zmienić to, co pani Murphy sobie pomyślała.

— Więc... opowiadaj. Co się u ciebie działo przez te wszystkie lata? — Prośba okraszona ciepłym, zachęcającym uśmiechem wystarczyła, żeby porzucić niewygodny temat i przejść na taki, który pozwolił Josephine zapomnieć o wypowiedzianej półprawdzie.

Czy chciała zobaczyć się z Archerem lub Valerie? Oczywiście. Odałyby niemal wszystko za kilka informacji, jak potoczyło się ich życie. Jedyną rzeczą większą od tego pragnienia był strach powstrzymujący ją przed kontaktem z którymś z przyjaciół.

Valerie tylko raz złamała niepisaną zasadę braku kontaktu po wyjeździe Josephine. Rok po tym, jak widziały się ostatni raz, wysłała jej SMS-a z informacją, że biorą z Ethanem ślub i że mimo wszystko chcieliby, żeby się pojawiła.

W tamtym czasie ledwo zaczęła stawać na nogi po rozstaniu z Chase'em i wiedziała, że nie zniosłaby spotkania z nim. Poza tym pojawienie się w jego życiu na chwilę, by zaraz zniknąć, nie byłoby w porządku. Dlatego nawet nie odpisała na tę wiadomość, a Valerie nigdy już nie próbowała się z nią kontaktować.

Sytuacja z Archerem wyglądała nieco inaczej, a jednocześnie równie źle. Rozmawiali ze sobą kilka razy. Kiedy Josephine czuła, że brakuje jej sił, by dalej walczyć, sięgała po telefon i zgodnie z tym, co obiecała mu w zamian za opiekę nad Chase'em, dzwoniła do niego. Zawsze odbierał, nawet jeśli budził go w środku nocy, i po prostu był. Nieważne, czego akurat potrzebowała, dawał jej to. Aż do ostatniego telefonu.

Zadzwoiła do niego po tym, jak odrzuciła oświadczyńcy Cartera. Powiedziała, że chce wrócić do domu, do Chase'a, do tego, co mieli, bo nie wytrzyma ani dnia więcej, żyjąc takim życiem, jakie wiodła w tamtym momencie. Archer sprowadził ją na ziemię, mówiąc, że nie ma już do czego wracać. Praktycznie zagroził, że jeśli kiedykolwiek kochała Chase'a, to zostanie tam, gdzie jest, i przerwał połączenie.

Więc została i jeszcze tego samego wieczoru pojechała z przeprosinami do mieszkania Cartera. Wybaczył jej, a ona przyjęła oświadczyńcy. Nie zrobiła tego z miłości, bynajmniej nie z miłości do mężczyzny, za którego zgodziła się wyjść. Wtedy było to po prostu jedyne, co jej pozostało.

Sądziła, że związanie się z mężczyzną na dobre zakotwicy ją po tamtej stronie oceanu, i przez długi czas żyła w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Złudnym, bo nie przewidziała scenariusza, w którym zostanie zmuszona do powrotu właśnie ze względu na Cartera.

Nikłe prawdopodobieństwo tego, jak potoczyły się wypadki, aż prosiło się o stwierdzenie, że ciążyło nad nią antyczne fatum. Na poparcie tej tezy Josephine miała też fakt, że sama często czuła się jak bohaterka greckiej tragedii. Wszystkie jej działania prowadziły do katastrofy.

## Rozdział 3

Na zewnątrz już od jakiegoś czasu było ciemno, gdy ciszę w pokoju Josephine przerwało pukanie do drzwi. Oderwała wzrok od okna, o które rytmicznie uderzały krople jesiennego deszczu, i spojrzała w kierunku wejścia. Domyślała się, że to Crystal, która po wyjściu pani Murphy jeszcze dwa razy próbowała zacząć z nią rozmowę na temat Williama, dlatego postanowiła udawać, że położyła się wcześniej.

Jednak ku jej niezadowoleniu drzwi uchyliły się bez jej pozwolenia i rudowłosa kobieta zajrzała do środka, z radością odkrywając, że jej ofiara nie śpi.

— Hej. — Uśmiechnęła się krótko i zamknęła za sobą drzwi, zanim Josephine zdążyła zaprotestować. — Nicole właśnie zasnęła, więc pomyślałam, że teraz możemy porozmawiać bez przeszkód.

Josephine nie miała najmniejszej ochoty na tę rozmowę, ale ze względu na determinację bratowej zaczęła godzić się z myślą, że nie uda jej się tego uniknąć. Poza tym Carter zawsze jej powtarzał, że czasami zachowuje się jak dziecko, a nie tak, jak przystało na dorosłą kobietę. Dlatego skinęła głową i wyprostowała się na fotelu, który beczynn timer zajmowała zdecydowanie zbyt długo, bo kości strzyknęły jej nieprzyjemnie, gdy w końcu zmieniła pozycję.

— Widzę, że nadal się do końca nie rozpakowałaś. — Crystal wskazała brodą na stertę kartonów, które od przyjazdu Josephine zmieniły jedynie miejsce i teraz stały w kącie, cierpliwie czekając, aż ich właścicielka zbierze się na odwagę, by przejrzeć zawartość. Na razie się na to nie zanosilo.

— Chciałaś rozmawiać, więc mów — odcięła się ostrzejszym tonem, niż zamierzała. — Bo domyślałam się, że nie planowałaś rozmowy o bałaganie w moim pokoju.

— Masz rację. — Kobieta zreflektowała się, słysząc jad w głosie dziewczyny. — Chciałam porozmawiać o twoich stosunkach z Williamem. Wiem, że pomyślisz sobie, że robię to tylko dlatego, że jestem jego żoną, ale naprawdę chciałabym, żebyś dała mu szansę. Jemu szczerze zależy na zbudowaniu z tobą normalnej relacji.

Josephine nie odpowiedziała. Głównie dlatego, że naprawdę nie chciała być wredna dla kobiety, która od jej przyjazdu nie zrobiła jej nic złego, była uprzejma i gościnna. Jednak w tamtym momencie nie przychodziły jej do głowy żadne miłe słowa.

Crystal jednak wzięła jej milczenie za pozwolenie, by kontynuować:

— I przepraszam, że się wtrącam, ale chciałabym, żebyś miała pełny obraz tego, co dzieło się w twojej rodzinie, kiedy cię tu nie było.

Josephine nie była pewna, czy w ogóle chce to wiedzieć. Nigdy nie miała szczególnego poczucia przynależności do własnej rodziny, a teraz było ono jeszcze mniejsze niż wcześniej. Tak naprawdę obecnie chciała tylko wyjść za mąż i nie mieć nic wspólnego z rodziną Sinclairów.

— Mieliśmy z Williamem naprawdę trudne początki, bo twoja matka... — Crystal zawahała się, szukając odpowiednich słów na opisanie zachowania teściowej. — Cóż, powiedzmy, że nigdy nie była moją największą fanką.

— Niech zgadnę: była dla ciebie okropna i robiła wszystko, żeby ci pokazać, że nie jesteś wystarczająco dobra. Na pewno nie dla jej idealnego syna — rzuciła kpiąco Josephine. Nie musiała tego widzieć, żeby mieć pewien obraz sytuacji. Możliwości swojej matki miała okazję poznać na własnej skórze zdecydowanie zbyt wiele razy.

— Mniej więcej — przyznała Crystal. — I prawie jej się udało, bo ja byłam gotowa się poddać i zostawić Williama, ale on się postawił. Powiedział Lillian, że zamierza się ze mną ożenić bez względu na to, co ona o tym myśli, więc jeśli nie ma zamiaru mnie zaakceptować, to może o nim zapomnieć.

— To doprawdy cudowne, że mój brat przejrzał na oczy i po prawie trzydziestu latach zobaczył, jaka jest nasza matka. Cieszę się z waszego szczęścia, ale nie do końca rozumiem, jak to wszystko ma się do mojej relacji z nim. — Ta rozmowa stawiała się coraz trudniejsza do zniesienia i Josephine modliła się o szybkie jej zakończenie.

— Właśnie w tym rzecz. — Crystal zignorowała sarkazm w głosie brunetki. — William dopiero wtedy przejrzał na oczy. Dopiero kiedy zobaczył, jak Lillian mnie traktuje, zaczął mieć pewien obraz tego, jaka jest naprawdę. Wcześniej widział ją jedynie jako kochającą i wspierającą matkę i wierzył, że taka była też dla ciebie, bo zwyczajnie nie podejrzewał, że mogłaby być inna. Nie miał powodu, by sądzić, że ciebie traktowała gorzej niż jego, i nie rozumiał, skąd wzięła się wasza napięta relacja. Teraz...

— Nie ma pojęcia. — Gdy Josephine przerwała kobiecie, jej głos nie był już podszyty sarkazmem. Nie było w nim żadnych emocji, a słowa, które wypowiadała, brzmiały, jakby były wykute z lodu. — Żadne z was nie ma najmniejszego pojęcia, jak wyglądało moje życie z nią. I nie mówię tego, żeby ktokolwiek się nade mną użałał. Po prostu taka jest prawda. Nie znałam Williama, a on nie znał mnie, i nadal tak jest. Jak widać, nawet matki mieliśmy inne, bo mojej nikt nie nazwałby kochającą czy wspierającą. — Wypowiedzenie tak pozytywnych określeń w stosunku do kobiety, która niszczyła ją przez lata, brzmiało dziwnie w jej ustach.

— Masz do niego żal, rozumiem. — Crystal pokiwała głową, ale Josephine pomyślała, że w rzeczywistości w ogóle nie rozumiała. Gdyby fatycznie tak było, odpuściłaby sobie te próby stworzenia z nich rodzeństwa. — Chcę tylko, byś wiedziała, że on naprawdę się zmienił i żałuje, że uświadomił sobie pewne sprawy zbyt późno, żeby naprawić wasze stosunki, zanim wyjechałaś.

— Więc mam rzucić mu się na szyję i zacząć traktować jak kochanego braciszka? To sugerujesz?

— Sugeruję jedynie, żebyś dała mu szansę.

Josephine powoli zaczynała podziwiać tę zdolność ignorowania jej złośliwych uwag. Podziwiała też oddanie, z jakim Crystal walczyła

w imieniu swojego męża. Jednocześnie czuła, że dostała odpowiedź na pytanie o prawdziwość uczuć, które widziała między tą dwójką.

— Mówisz, że go nie znasz, ale co ci szkodzi spróbować go poznać?

— Bratowa nie poddawała się. — Nawet jeśli niedługo przeprowadzisz się do Cartera, nadal będziesz miała Lillian zdecydowanie zbyt blisko. Przyda ci się wsparcie, kiedy znowu zaczniesz ci wchodzić na głowę. Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że zaczniesz to robić. Nawet ja to wiem. Użerałam się z nią wystarczająco przy własnym ślubie, by wiedzieć, że do twojego też się wtrąci. Będziemy po twojej stronie, jeśli nam na to pozwolisz.

Josephine niechętnie musiała przyznać jej rację. Miło byłoby dla odmiany chociaż raz w życiu przekonać się, jak to jest nie być samej przeciwko rodzicom. A William naprawdę się starał i nie przeszkadzała mu nawet niechęć, z jaką się spotykał za każdym razem, gdy próbował nawiązać rozmowę.

— Zgaduję, że nie mam nic do stracenia — powiedziała po części po to, by kobieta w końcu dała jej spokój. — Spróbuję być miłsza.

— Na początek wystarczy. — Crystal posłała jej uśmiech, który Josephine odwzajemniła bez entuzjazmu.

Gdy już została sama, doszła do wniosku, że podjęła dobrą decyzję. Potrzebowała nowych granic, czegoś, co pozwoli jej się skupić na teraźniejszości zamiast na przeszłości, która wciąż nawiedzała ją w snach.

Naprawdę nie miała nic do stracenia, a nawet jeśli, to bardzo niewiele. Nie sądziła bowiem, że może być gorzej, niż było dotychczas.

I można to nazwać niezwykle naiwnością lub nawet głupotą — by zapomnieć, że życie najczęściej kieruje się zasadą „zawsze może być gorzej”.

\*\*\*

Zanim się obejrzała, wszystko, co na początku wydawało się nowe, w końcu stało się rutyną, a dni zaczęły zlewać się ze sobą. Wstawała, jadła śniadanie, spędzała czas z Nicole i Crystal, próbowała rozmawiać z Williamem, jeśli akurat był w domu, a wieczorami dzwoniła do Cartera. Czasem nawet udawało jej się z nim porozmawiać, jeśli nie był zbyt

zajęty. Sny o przeszłości w końcu przestały ją nawiedzać i wyglądało na to, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Do czasu.

— Dzień dobry — przywitała się, chociaż ten dzień zdecydowanie nie był dobry, nawet jeśli dopiero się zaczął.

Od momentu obudzenia jak tonowy kamień ciążyło jej dręczące poczucie, że o czymś zapomniała. O czymś ważnym, jednak za nic nie potrafiła uchwycić, co to mogło być. Cokolwiek to było, sprawiało, że czuła się źle we własnej skórze.

— Josie! — Nicole z pełnym radości okrzykiem zeskoczyła z kolan taty i z impetem wtuliła się w nogi cioci. — Miłego dnia. — Posłała jej szeroki uśmiech, spoglądając na nią z dołu.

— Zaczynam być zazdrosny — odezwał się William z wyczuwalną radością, zwracając na siebie uwagę. — Kradniesz mi moją własną córkę.

— To dobrze o niej świadczy. — Josie uśmiechnęła się z gryźliwie. — Młoda po prostu ma dobrego nosa do ludzi.

William w odpowiedzi jedynie parsknął śmiechem.

Od jej rozmowy z Crystal ich relacje powoli ruszyły do przodu. Na razie dopiero raczkowały i były na etapie niegroźnego dogryzania sobie nawzajem, ale przynajmniej szły w dobrym kierunku.

Dziewczynka w końcu wypuściła ją z objęć i wróciła na miejsce na kolanach taty, zaczynając z nim rozmowę, a Josie zbliżyła się do Crystal, która przyrządzała śniadanie.

— Na co masz ochotę? Dzisiaj ja rządzę w kuchni. — W soboty Marie miała wolne, co dawało Crystal pole do popisu w przyrządzaniu posiłków.

— Na razie zostanę przy herbacie, nie czuję się najlepiej. — Dziwne uczucie nadal nie dawało jej spokoju, miała wrażenie, że jej żołądek zaciska się z niewyjaśnionego zdenerwowania. Prawie jakby jej ciało spodziewało się, że zaraz coś się wydarzy, i było gotowe na to, że lada moment nadejdzie cios.

— Faktycznie wyglądasz trochę blado. — Crystal skinęła głową, marszcząc brwi. — Może powinnaś wrócić do łóżka i odpocząć.

— Dobrze, *mamo*.

Mimo że były między nimi zaledwie cztery lata różnicy, Crystal często przejawiała wobec niej opiekuńcze uczucia. Na początku Josie uważała to za irytujące, ale z czasem zaczęła się do tego przyzwyczajać. Zrozumiała, że kobieta ma po prostu taki charakter.

— Tato, a za ile dni będę miała pięć lat?

Pytanie Nicole sprawiło, że Josie zaczęła nasłuchiwać rozmowy podczas przygotowywania herbaty. Nawet nie wiedziała, kiedy jej bratanica ma urodziny.

— Poczekaj, zającu, policzymy razem. — William bez wahania odłożył telefon i ponownie poświęcił całą uwagę dziecku.

Josephine niechętnie musiała przyznać, że jej brat ma świetny kontakt z córką, co zdecydowanie działało na jego korzyść w opinii dziewczyny.

— Jaki mamy dzisiaj dzień?

— Szesnasty września. — Crystal pospieszyła z odpowiedzią, stawiając talerz z jedzeniem na wyspie kuchennej.

Josephine poczuła się tak, jakby coś ciężkiego z impetem uderzyło ją w głowę.

*Szesnasty września* — powtórzył głos w jej głowie, łudząco podobny do głosu, który kiedyś był jej ulubioną melodią.

Dzień jej wyjazdu. Dzień, w którym wszystko się zaczęło, a dokładnie rok później wszystko się skończyło. Teraz już doskonale wiedziała, o czym zapomniała. O tym, że mijało dokładnie sześć lat, odkąd ostatni raz go widziała.

W Bostonie byłby to kolejny zwykły dzień. Być może nawet przegapiłaby tę okrutną rocznicę. Ale tutaj, w miejscu, gdzie to wszystko się wydarzyło, szesnasty września nabierał zupełnie innego znaczenia.

— Josephine, wszystko dobrze? — Crystal zauważyła jej dziwne zachowanie i chwilę później uwaga całej trójki skupiła się na dziewczynie.

— T-tak. — Próbowала się pozbierać i utrzymać pozory. — Chyba jednak pójść się położyć — wyjąkała pospiesznie i najszybciej, jak mogła, skierowała się do swojej sypialni.

\*\*\*

Nienawidziła tracić kontroli — i to jedynie pogarszało sytuację, bo w tamtej chwili daleko jej było do opanowania. Próbowwała być ponad to i odgrodzić się grubą ścianą od swoich uczuć, jak robiła to przez resztę dni w roku, ale dzisiaj przypominało to raczej budowanie zamków z piasku w środku huraganu.

Nie potrafiła zapomnieć i to było jej zgubą. Wiedziała, że to nigdy nie minie. Mogła przestać go kochać, mogła ruszyć dalej i chcieć życia z Carterem, ale jakaś jej część będzie za nim tęsknić już zawsze.

I szesnastego września pozwoliła sobie na jeden dzień bez kłamstw, którymi karmiła się przez pozostałą część roku. Jutro wstanie i wznowi nieustanną walkę z wrogimi zakamarkami jej umysłu. Będzie upychać nieproszone myśli w szufladki, zamykać na klucz, kreślić linie i budować mury.

Dzisiaj spuściła ze smyczy swoje własne demony. Pozwoliła im biegać wolno.

Spędziła dwie godziny zamknięta w pokoju, zanim doszła do wniosku, że zwariuje, jeśli pobędzie tam jeszcze minutę dłużej. Więc zdecydowała się na coś, czego nie miała odwagi zrobić od dnia przyjazdu.

— Wychodzisz? — Głos Williama dotarł do niej, gdy zmierzała do drzwi, a sekundę później w zasięgu wzroku pojawiła się jego sylwetka. — Czujesz się już lepiej?

— Pomyślałam, że świeże powietrze dobrze mi zrobi — rzuciła, zakładając płaszcz.

— Daj znać, jeśli byś się gorzej poczuła, przyjadę po ciebie.

W innych okolicznościach może nawet doceniłaby tę troskę, jaką jej starszy brat w sobie rozwijał.

— Poradzę sobie — zbyła go, jednak po chwili się zreflektowała. — Ale dzięki — odpowiedziała, by jej wypowiedź zabrzmiała trochę uprzejmiej. Nie czekała na reakcję mężczyzny i chwilę później była już na zewnątrz, oddychała rześkim jesiennym powietrzem.

Nie zmierzała w konkretnym kierunku. Pozwoliła, by nogi same ją poniosły, podczas gdy ona starała się zająć myśli obserwowaniem widoków, które niegdyś stanowiły część jej codzienności. Jesień w Moreton

zawsze była jej ulubioną porą roku i teraz również Josie potrafiła dostrzec ten urok, jaki miało miasteczko skąpane w szarości.

Jednak miasto było inne. A przynajmniej takie się wydawało, choć może winą powinna obarczyć fakt, że Moreton było całkowitym przeciwieństwem Bostonu. Josephine uwielbiała obserwować metropolię przez okno apartamentu położonego wysoko ponad poziomem ulic. Często, gdy zostawała sama, siadała przy przeszkłonej ścianie i godzinami obserwowała panoramę miasta z widokiem na zatokę.

Podczas gdy Boston był ciągłym zgiełkiem i ruchem, Moreton było wręcz przytłaczająco spokojne i Josephine miała wrażenie, że każdy jej krok niesie się echem, zwracając na nią uwagę innych. Tutaj nie była jedynie jednym z miliona przechodniów zlewających się w jednolitą masę. Przechadzając się pustym, nierównym chodnikiem, nie mogła wyzbyć się swojej tożsamości ani niczego, co się na nią składało.

Za późno zorientowała się, gdzie właściwie się kieruje, i zanim otrząsnęła się z zamyślenia, stała już w miejscu, w którym go poznała. Poczuła się, jakby jej własne ciało ją zdradziło, prowadząc prosto w miejsce pełne wspomnień, jednak nie mogła powstrzymać pokusy i na drżących nogach podeszła jeszcze bliżej.

Bez trudu odnalazła wzrokiem miejsce, w którym pośród wielu innych rysunków na drewnianej desce zostały napisane ich inicjały umieszczone przez nich pewnej nocy tamtego pamiętnego lata. Teraz były już ledwie widoczne i częściowo zasłonięte przez inne rysunki i podpisy, ale wciąż tam były. Dowód na to, że kiedyś naprawdę byli *Chase'em* i *Jose*. Czasem miała wrażenie, że to wszystko wydarzyło się jedynie w jej głowie.

Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła, wpatrując w ten jeden punkt, zanim w końcu się otrząsnęła i zrozumiała, co robi. Musiała iść dalej, dosłownie i w przenośni.

*Chase to przeszłość* — przypomniawszy sobie. Musiała wziąć się w garść i pamiętać o przyszłości, którą miała przed sobą. Z mężczyzną, którego zamierzała poślubić.

Odwróciła się od ławki i ruszyła w przeciwnym kierunku tak szybko, że nie zauważyła osoby przechodzącej chodnikiem.

— Bardzo przepraszam — przeprosiła z paniką i szczerą skruchą i schyliła się, by pomóc pozbierać rzeczy, które w wyniku zderzenia z kobietą wypadły tamtej z torebki. — Nie zauważyłam...

— Josephine?

Brunetka była tak zaaferowana sytuacją, którą spowodowała, że w ogóle nie zwróciła uwagi na kobietę, na którą wpadła. Dopiero znajomy głos sprawił, że podniosła głowę.

— Valerie.

Powiedzieć, że Val wyglądała, jakby zobaczyła ducha, to niedopowiedzenie. Patrzyła na nią z ustami rozchylonymi ze zdziwienia, nie do końca wierząc w widok, jaki ma przed oczami, a Josephine nie mogła jej się dziwić. W końcu nie spotyka się tak po prostu osób, które powinny być tysiące kilometrów dalej.

— Cześć? — Nie miała pojęcia, jak się zachować w obecności byłej przyjaciółki, więc jej powitanie zabrzmiało bardziej jak pytanie. — Jeszcze raz przepraszam za torebkę. I... nawet nie wiem, co powiedzieć. Nie spodziewałam się ciebie spotkać — tłumaczyła nieskładnie, próbując choć trochę zmniejszyć niezręczność sytuacji.

— Mogę powiedzieć to samo — odpowiedziała Valerie, ale nie starała się ukryć, że nie jest zadowolona ze spotkania. — Więc co tu robisz?

— To trochę skomplikowane — przyznała szczerze. Musiałaby jej streścić przynajmniej trzy lata życia, by dziewczyna w pełni zrozumiała, co ją sprowadziło do Moreton. — Może pójdziemy napić się kawy i wtedy porozmawiamy? — zapytała z nadzieją.

Pomimo wiszącej w powietrzu niezręczności nie była jeszcze gotowa pozwolić Val odejść. Nie szesnastego września.

Valerie w pierwszej chwili wyglądała, jakby miała zamiar uciec i nie oglądać się za siebie. W końcu jednak wygrała ciekawość. Cecha charakteru, którą Josephine знаła w przyjaciółce aż za dobrze.

— W porządku.

W niekomfortowej ciszy ruszyły w kierunku pobliskiej kawiarni, która kiedyś była ich ulubionym miejscem spotkań.

Jednak gdy znalazły się w środku, Valerie od razu skierowała się w stronę przeciwną do tej, gdzie znajdował się ich ulubiony dawniej stolik, i zajęła miejsce na drugim końcu lokalu. Nawet na nią nie patrzyła, gdy składała zamówienie. Również inne niż to, co wybierały lata temu.

Josephine bez trudu odczytała ukryty przekaz zachowania dziewczyny. To nie było przyjacielskie spotkanie po latach.

Mimo wszystko postanowiła wyciągnąć z niego jak najwięcej.

— Więc... co tam u was? — Liczyła, że uda jej się otrzymać odpowiedzi na dręczące ją pytania o to, jak potoczyło się życie najważniejszych dla niej ludzi. — Jak ci się układa z Ethanem?

— Josephine, jego tutaj nie ma. — Ton Valerie był tak wrogi, że Josephine odchyliła się na krześle, jakby przyjaciółka zadała jej fizyczny cios. — Jeśli wróciłaś dla niego, to tylko tracisz czas.

— O czym ty mówisz? — Doskonale wiedziała co, a raczej *kogo* Val miała na myśli, ale nie zmniejszało to zaskoczenia atakiem. — Nie wróciłam tutaj dla Chase'a, przeniosłam się z Bostonu z narzeczonym. Carter jest biznesmenem. Przeprowadziliśmy się, bo jego rodzinna firma otwiera oddział w Londynie, a on został dyrektorem.

Teraz to Valerie była zdziwiona.

— Narzeczonym? — powtórzyła z uniesionymi brwiami, a gdy Josie skinęła głową, zaskoczenie zmieniło się w zawstydzenie. — Wybacz, ale nie masz nawet pierścionka, więc pomyślałam...

Josephine odruchowo spojrzała na palec, na którym powinna znajdować się biżuteria, i zorientowała się, że faktycznie jej nie ma. Często zapomniała włożyć pierścionek albo celowo tego nie robiła, gdy Cartera nie było, bo czasami ciążył jej na palcu. Wysadzana diamentami ozdoba kosztowała fortunę i zdecydowanie była zbyt wystawna, by móc nosić ją swobodnie.

— Ale to nie wyjaśnia, co robisz akurat w Moreton.

Josephine miała wrażenie, że słyszy w głosie dziewczyny ślad oskarżenia, jakby pojawienie się w rodzinnym mieście było niewybaczalnym wykroczeniem. Może faktycznie tak było.

— Mieliśmy się przeprowadzić dopiero za kilka miesięcy, ale ze względu na firmę musieliśmy to przyspieszyć, a nasze mieszkanie w Londynie nie jest jeszcze skończone. — To nie była prawda, przynajmniej nie całkowicie, ale nie mogła sobie pozwolić na większą szczerość. — Carter jedną nogą wciąż jest w Bostonie, żeby pozamykać tam ostatnie sprawy, więc nie chciał, żebym była sama w nowym domu, mając na głowie ludzi od remontu. — Uśmiechnęła się słabo, starając brzmieć przekonująco. — Dlatego na jakiś czas wprowadziłam się do domu rodziców. A przy okazji mogę w końcu poznać swoją bratanicę.

— William ma dziecko? — Valerie, chociaż starała się tego nie okazać, wydawała się zadowolona z wyjaśnień dziewczyny.

— I żonę. Wygląda na to, że podczas mojej nieobecności mój brat przeszedł wewnętrzną przemianę i jest teraz zupełnie innym człowiekiem. W dodatku obrał sobie za cel zrobienie z nas kochającego się rodzeństwa. — Josephine wyrwała oczami z rozbawieniem, a Valerie parsknęła śmiechem i na chwilę obie się zapomniały. Pozwoliły sobie udawać, że wszystko jest dobrze.

— To prawie tak jak Archer. — Valerie rzuciła głosem pozbawionym wrogości i prawie swobodnym.

— A co z nim? — Josie starała się nie pokazać, jak duże znaczenie ma dla niej jakakolwiek informacja o dawnym przyjacielu.

— Niedawno został tatusem.

Josephine była wdzięczna, że akurat w tamtym momencie nie piła, bo była pewna, że w przeciwnym razie, słysząc tak szokującą informację, mogłaby zrobić sobie krzywdę.

— Żartujesz? — wykrztusiła z trudem, obserwując rozbawienie blondynki.

— Niestety nie. Wszyscy wiedzieliśmy, że tak się kiedyś skończą jego jednonocne przygody, i stało się — wyjaśniła, wzruszając ramionami.

— Chociaż trzeba mu przyznać, że wziął odpowiedzialność za dziecko i postanowił, że nie ograniczy się jedynie do płacenia alimentów, tylko faktycznie będzie obecny w jego życiu. Nadal jest takim samym

podrywaczem, jakim był w szkole, ale teraz pracuje w firmie ojca i jest weekendowym tatusiem.

— Odpowiedzialny Archer Coleman, kto by pomyślał. — Pokręciła głową z niedowierzaniem. Dziwne uczucie zaczęło ścisnąć ją za gardło, gdy uświadomiła sobie, jak wiele ją ominęło. — Dorosłość.

— Dopadła nas wszystkich — dodała Valerie z tym samym uśmiechem pełnym melancholii.

— A ty i Ethan? Jak wam się układa? — ponowiła pytanie, które zadała wcześniej, licząc, że tym razem dziewczyna odbierze je przychylniej.

— Jakoś leci. — Twarz Valerie rozświetliła się na dźwięk imienia ukochanego. — Ethan pracuje w banku, a ja niedawno zaczęłam staż u jednej projektantki. Czasem trudno mi uwierzyć, że czas mija tak szybko. Wydawałoby się, że tak niedawno szliśmy na pierwszą randkę, a już niedługo będziemy świętowali piątą rocznicę ślubu.

— Przepraszam, że mnie z tobą nie było tamtego dnia — wyznała pod wpływem emocji. Jednak jej słowa były całkowicie szczere.

— Było, minęło. — Valerie wzruszyła ramionami w odpowiedzi, uśmiechając się przy tym smutno. — Nie mam do ciebie żalu, bo ostatecznie chyba tak było najlepiej dla wszystkich, ale to nie zmienia faktu, że chciałabym, żeby tamtego dnia moja najlepsza przyjaciółka była ze mną.

Josephine mogła tylko pokiwać głową ze zrozumieniem. Było jej przykro, że zawiodła Val, nawet jeśli obie wiedziały, że postąpiła w jedyny słuszny sposób. Ale to niczego nie zmieniało.

Nie zmieniało faktu, że nie są już dziewczynami, które po szkole przychodziły na kawę do ulubionej kawiarni. Podobnie jak oni wszyscy nie są już tamtymi nastolatkami, którzy kiedyś byli paczką najlepszych przyjaciół. Jedyne, co po nich zostało, to pełne melancholii uśmiechy i ucisk w sercu na myśl o pięknych wspomnieniach.



# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

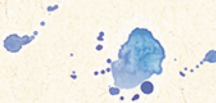
- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
  2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
  3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 



## Weszła drugi raz do tej samej rzeki. Teraz próbuje w niej nie utonąć...

Wyjeżdżając na studia do Bostonu, Josephine nie tylko wypełniała narzuconą jej rolę perfekcyjnej córki. Ten wyjazd był także ucieczką. Od rodziny, która nie umiała albo nie chciała dać dziewczynie miłości, od małomiasteczkowej rutyny, od wspomnień. Tych złych i tych dobrych. Przez sześć lat Josie zapominała, wymazywała z pamięci, odcinała się od przeszłości.

A teraz wraca.

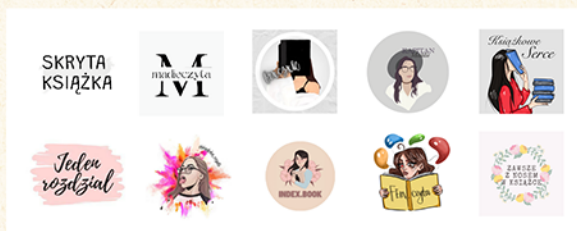
Wyjeżdżała jako zagubiona, samotna licealistka. Sześć lat później wraca jako twardo stąpająca po ziemi kobieta, z narzeczonym u boku. Nie wie jeszcze, że powrót do Moreton znów wywróci do góry nogami jej życie. Będzie musiała na nowo spojrzeć na siebie, na relacje z własną rodziną, na swoje uczucia. Bo przecież w Moreton został on.

Chase. Chłopak, o którym przez wszystkie te lata próbowała zapomnieć...

**Porywająca kontynuacja losów bohaterów bestsellerowej powieści  
*Flaw(less)*. Opowiedz mi naszą historię!**

## Powieść z nurtu new adult

Patroni medialni:



ebook dostępny na:

**ebookpoint**

ISBN 978-83-283-9267-0



9 788328 392670

Cena: 44,90 zł

**beyA.**  
beyA.pl